

Wychodzą we *Wtorek*,
Czwartek i *Sobotę*. We
Lwowie prenumerata ro-
czna 6 Złr. półr. 3 Złr.
kwartał. 1 Złr. 30 kr.
miesięcznie 40 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
czątkową rocznie 8 Złr. —
półrocznie 4 Złr. — kwar-
talnie 2 Złr. m. k. Ryciny
mód kwartał. 1 Złr. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza pi-
smem petyt w przedzia-
le za jednorazowe umie-
szczenie po 3 kr. za na-
stęp. po 1 1/2 kr. i za do-
płatą 10 kr. stępl. za ka-
żdorazowe umieszczenie
Biuro ekspedycji w księ-
garni H. W. Kallenbacha.

KRÓL DZIADÓW.

IV.

Przedbalowe zachody.

(Ciąg dalszy).

Biedny Eugeniusz był jak na mękach, tak mu się opacznie wydawało wszystko to aż do obrzydliwości pro-
zaiczne towarzystwo. A na nieszczęście był za młody, za
nadto poeta i za mało doświadczony, by się nawet mógł
zdobyć na parę słów, zdolnych skończyć tę dla wszystkich
stron niemłą scenę.

Srul stary, szczwany lis, przyszedł i tu w pomoc.

— Jasny pan hrabia młody pewnie jedzie do Niżyniec
na bal do państwa Krajowskiego i wstąpił po drodze, aby
poznać się z sąsiadami.

— Aby mieć przyjemność! wyjąknął wreszcie, darmo
szukając po swojej głowie, poezji pełnej, jakiegoś wyrazu
stosownego do okoliczności. W tej mierze pan Eugeniusz
niżej stał jeszcze od rodziny Glinieckich.

— A to ślicznie! to wybornie! mówił pan Gliniecki.

— To ślicznie! to wybornie! powtarzały panny dy-
gając, rumieniąc się i patrząc z pod oka na pięknego mło-
dzieńca, który obydwom podobał się niepospolicie.

— Pojedziemy razem! mówił pan Gliniecki i spojrzał
triumfująco na żyda, a panny przez okno, pod którym
stał ładny koszyk z hrabską koroną.

— Razem! powtórzyła Frania, rzucając na niego śmia-
łe spojrzenie swych czarnych oczów,

— Razem! cichszem, wzdychającym echem powtórzyła
Marysia, spuszczaając w ziemię błękitne swe oczy, aż do
zyzu prawie wywrócone, by się młodemu hrabiemu dobrze
przypatrzeć.

Młody hrabia tymczasem wzdychał i na drzwi się oglą-
dał, życząc sobie aby jakim sposobem wymknąć się z tej
łazni.

— Zaraz się ogolimy!... to jest ja się ogolę, a moje
córkę ubierają się!... zagadł ojciec i pomknął do swojej izby,
a za nim córeczki...

— Przepraszamy, ozwały się jeszcze za drzwi wszy-
stkie głosy: Srułu baw pana hrabiego.

Aż odetchnął młody hrabia, bo ze Srułem daleko
łatwiej szła rozmowa. I nawet rozmowa ta zaintrygowała
go niepomalu, bo żyd, jak zwyczajnie żyd ciekawy wszy-
stkiego, wziął się do indagacji. Jakoż zaraz zaczął od tego
że mu powiedział o wczorajszej jego jeździe konnej.

— Jasnego pana widzieli wczoraj, jak jechał tam do
tej czartowskiej pasieki. Zapewne jasny pan miał jaki
interes!... Ny! co to dziwnego!...

— Ja żadnego!... ja tak na spacer!...

— Aj waj! to daleki spacer!... odpowiedział żyd z
uśmiechem szyderczym, ale to wczoraj wszyscy jeździli na
spacer... bo i ten nasz młody aktuarjusz, co to nosi kol-
nierzyki aż na uszach!...

— Także na spacer? zapytał Eugeniusz.

— Jak jasny hrabia!... Młodzi ludziewie lubią space-
rować. Ale że staremu Wiciewiczowi zachciało się... to
mnie bardzo ciekawo!...

— Wszak on tam ma pasiekę...

— A prawda!... ta sama pasieka, co to naprzeciw
dworka, gdzie mieszka Goździkiewicz... Jasny hrabia zna
Goździkiewicza!...

— A tak!... wszak on był u nas, odrzekł młodzie-
niec zarumieniony.

— To fein człowiek!... a jakie ma feine dzieci!...
to prawdziwy skarb!...

Nagle uderzył się żyd w głowę!... i mruknął coś nie-
rozumiałego pod nosem.

— Aj waj! to prawda!... to starego pasieka... tam
gdzie te stare mury!... Ny! ny!...

— Już pół twarzy ogoliłem! ozwał się z drugiego
pokoju wesół głos pana Glinieckiego.

Po krótkiej też chwili wyszedł pan Gliniecki w
odwiecznym fraku jasnoniebieskim o długich ogoniastych
połach i jasnych małych guzikach.

I panny Glinieckie wnet się pojawiły w białych płó-
cienkowych sukienkach, i w owych srulowskich szalikach.
Nastąpiły nowe przywitania i dygi. Biedny Eugeniusz sam
niewiedział co robić, by się wymknąć jakim sposobem.
Lecz stary Gliniecki ani myślał go puścić.

— Siadaj no pan hrabia!

— Ja bym chciał pospieszyć!...

— Zaraz, zaraz pojedziemy, niech tymczasem konie
odetchną. Siadaj pan! mówił dalej, sadowiąc go gwałtem

prawie na podartą sofę. Bo jak to mówią, dzieci mi spać nie będą.

— Spodziewam się!... przemówiła rezolutnie Frania, wszak będziemy całą noc tańcować! nieprawdaż panie hrabio... Pan lubisz tańczyć?...

— Ach tańczyć! powtórzyła Marysia i spojrzała w powalę.

— Ja bardzo mało tańczę...

— Moje córki pana rozhułają...

— Ja niezgrabny do tańcu!... odrzekł Eugeniusz, przeklinając w duszy kaprys ojcowski.

— Jakoś to będzie! zawołały obie siostry.

— Bo też moje dziewczęta niepospolite zuchy! mówił p. Gliniecki wesoło i rubasznie. Jak wszyscy niemal dorobkowiec, lubił się chwalić wszystkim, co posiadał. Posiadanie jest u nich rzeczą najważniejszą; jakże się niemnie chwalić!

— Patrz pan! czy nie tegie dziewczki! co nieprawda?

— A!... a!... mruknął coś pod nosem zarumieniony po uszy młodzieniec.

— A i panu nieuroku!... Taki czarnobrewy! jak moja Frania! Dalipan!... dobrana parka! co mówisz panie Feigele, dodał zacierając ręce...

— Co też tato mówi! zagadła brunetka przewracając oczami, co miało niby zawstydzenie znaczyć.

— Tato! ozwało się błękitne echo, z rodzajem wyrzutu...

— Co fein to fein! wmieszał się Srul, i cmoknął, jakby wychwalał jaki przedmiot jarmarczny.

— Już to powiem pann Eugeniuszowi... daruje pan mojej poufałości, aleś mi pan bardzo się podobał... z mojej Frani będzie bardzo dobra żona!... bo to powiadam panu gospodynie, jakich mało. Tamto także pocziwe, ale to jeszcze młode, to jeszcze dziecko prawie...

— Ja mam już lat sześćnaście!... ozwał się dziecko i zarumieniło się okropnie.

Sama pojąć nie mogła, jak się zdołała zdobyć na taką odwagę. Zamilkła nagle przed piorunującym siostry, a zadziwionem ojca spojrzeniem. Gliniecki dla tego tylko starszą chwalił córkę, że przenosząc młodszą, tamtej byłby rad jak najprędzej pozbyć się z domu.

— I powiem panu, że moja Frania właśnie zдалaby się tak do jakiego znacznego domu, bo już to jej państwo zawsze w głowie, od czasu jak bawiła przez rok w Niżyńcach u tej madame... jakże ona się nazywała, dodał zwrócony do Sruła... co to u niej uczyły się paniutki...

Srul krzyknął tylko, i mrugnął na starego, bo jakżeż było powiedzieć, że madame była modniarką, u której Frania uczyła się czepki i suknie robić...

— Mniejsza o nazwisko! zagadnął stary pomiarkowawszy się nieco. Ale edukacją moja Frania bardzo do-

brze przyjęła; zobaczy pan sam dzisiaj, jak się umie znaleźć w największym towarzystwie; niech się schowają panny Krajcowskie. To podobno kuzynki pańskie...

— A tak!... dosyć nawet bliskie, po mamie!...

— Po mamie!... powtórzyła Frania z głośnym śmiechem. Marysia za to spojrzała na młodzieńca zakłopotanego nieco z wyrazem czulszym, w którym przebiegało się politowanie.

Znając ostry siostry charakter żałowała go już biedaczka w niewinności serca. Śmiech starszej dziewczyny oburzył młodzieńca. Podniósł piękne czoło, i dumne rzucił nań spojrzenie.

— Od dziecka tak się przyzwyczaiłem nazywać matkę moją.. wyrzekł z wracającą mu śmiałością. I kto wie czy by się nie był w tej chwili odważył uciąć bez ceremonii, gdyby nie pan Gliniecki, ale ten przerwał mu nagle...

— Z pana Eugeniusza będzie dobry bardzo mąż, zupełnie jak z mojej Frani żona. Pan powinienes się jak najprędzej żenić..

— Nigdy bez miłości!... przemówił Eugeniusz z zapalem młodego poety, który nawet Glinieckich rodzinę uderzył swym urokiem.

Obie siostry popatrzyły na niego, a ich oczy jedne śmielej, drugie wstydliej zdawały się mówić wyraźnie:

— Jaki to śliczny chłopiec!

Srul rozповідаł nawet potem w Niżyńcach, że pan-na Frania aż słinkę połknęła.

— Oczywiście! mówił niezmordowany Gliniecki, który rzadko z ludźmi obcuje, gdy mu się raz zdarzyła sposobność, stawał się zawziętym gadułą. Ot wie co pan Eugeniusz, dodał porywając go za rękę; ja jestem człowiek szczery i jak to mówią okragły, co tu w bawelnę obwijając, żeń się pan...

I już tylko co nie wymówił „z Franią”, bo nasz zacny dorobkiewicz przyzwyczajony do tego, że mu się zawsze udawały jego zamysły, ani wątpił, że będzie miał młodego hrabiego zięciem; i już nawet w duszy układał projekcik jak to on włazłszy raz w interesa Wyżynieckie, tę piękną majątność oczyści i wytumani dla siebie. Na szczęście Srul rozumiejąc lepiej nieprzyzwoitość takiego powiedzenia, porwał go za ogon frakowy tak mocno, że aż się obrócił, bojąc się o swój frak doskonale już przenoszony. Srul mrugnął na niego jak mógł najwyraźniej i sam przedko zagadał:

— Już to że jegomościu paniutki extrafein, to sam rabin by przyznał, *auf meine munes*. Ale i posażne! ach dodał z figlarnem mrugiem oka...

— Ta zapewne! człowiek tam coś zebrał... pracę panie... pracę gorzką. Taj używa teraz póki pan Bóg da życia...

— Trzeba przyznać jegomościowi, że jegomość cudów dokazywał... do takiego przyjsć majątku! ach waj!

Sprychny żydek wprowadził Glinieckiego na pole, o którym wiedział, że na niem najmilej i najdłużej lubi harować, a przytem żydowskim swym miarkując rozumem, że mowa o majątku najlepszą może być wędka dla młodego pana.

— Ta to panie co prawda to nie grzech!... człowiek z niczego się dorobił. To nie wielka sztuka, wziąć majątek po rodzicach, albo przynajmniej jaki taki fundusik. Ale ot tak panie z gołemi rękami pójść w świat, i tylko głową kręcić, i wykręcić.

— Aj waj! co to za głow!...

— Tam jak słyszę ludzie teraz w mieście jakieś ciągle czytają romanse, co to dla nich piszą drudzy. Żeby to się znalazł taki, iżby opisał moją historję, to by było pożyteczne, i byłoby przecie co czytać. Wie pan, ot jak mnie pan widzisz żywego, ja nie wiem, kto byli moi rodzice, dalipan nie wiem.

— Ale tatku!... przerwała mu Frania.

— Ot głupia!... jej się zdaje, że to zrazi pana Eugeniusza, on ma przecie rozum, i już to dzisiaj nie te to dawne czasy...

— Bynajmniej! ozwał się Eugeniusz, któremu pot kroplisty występował na czoło. Mnie się tylko zdaje, że może by już czas był...

— Gdzie tam panie. Znam ja rodzinę Krajowskich. On już od wczoraj pijany; a tamci wszyscy w miasteczku, nim się wyczepierzą. my jeszcze pierwsi będziemy. Oj tak panie ja nie nie miałem, nawet rodziców; aż to tam w Glinicach proboszcz mówił raz o jakimś paniczku, co tam zajeżdżał do dworu, i o jakiejś garderbiance, która miała być bardzo ładna, ale nie było w tem nic pewnego, i takich rzeczy nie mówi się przy dzieciach. Ale pan bóg dał mi twardą głowę, a ludzie po wsi, w której mnie podobno pod kościołem znaleźli, nazwali Glinieckim. A co człowiek szturkańców nabrał w tę głowę, gdym przy pańskiej wisiał kuchni; bo to wszyscy się Piotrusiem wysługiwali, ale Piotruś miał rozum, szturkańce znosił, wszystkim służył, ale takto jakoś robił, że zawsze coś do kieszeni wpłynęło. Jedno tym, drugie tym sposobem, a zawsze wpadło coś do kabzy. Bo to w wielkim dworze, to nieraz wyrzuca na śmiecie, z czego nie-jeden jeszcze być może użytek.

Wiele, wiele bardzo ciekawego mógłbym ja powiedzieć, jakie to dzieją się rzeczy na takim dworze. Piotruś wszystko widział, wszystko wiedział, i zawsze coś skorzystał, a panie ziarko do ziarka będzie miarka. A jak się nauczył czytać i pisać, to dalipan, sam nie wiem; trochę z potrzeby, trochę z przypadku; ot i tyle umiem przecie, że mnie nikt nie przeda, i umiem kontrakt do-brze przeczytać, i na kontrakcie czytelnie się podpisać, a

z takim zygzakiem, że djabła zje, kto mój podpis zfałszuje. I tak się jakoś wyrosło panie, a co Piotruś umiał, tego i Piotr nie zapomniał. Sługiwało się panie i tu i tam, nawędrowało się po całej okolicy w pańskiej służbie, i z własnym nieraz handelkiem. A był tam stary żyd na arendzie, ten zawsze chwalił mnie i przepowiadał, że ze mnie będą ludzie. Zgadł psiawiara; wielki to był szachraj z tego Arona, od niego to się nauczyłem handlu. Długoby to o tem gadać, kiedyś ci to opowiem panie Eugeniuszu, jak się więcej zbliżymy, czego się spodziewam. Ale jedno przecie warto posłuchać, aż mnie śmiech bierze jeszcze, jak to sobie przypominę, ale wtenczas nie było mi do śmiechu...

— Aj waj! to pewnie o tytoniu! ach! to bardzo zabawne!

— A tak o tytoniu! Już mi się służba przelała przez uszy, osobiwie że przy ekonomie mało miałem czasu na własne interesa, bo to człowiek jak pies musiał stać na łanie, nie jadłszy i nie piwszy, bo już to ja zawsze skąpiłem sobie. To wszystko, com niepotrzebnie przez swój brzuch nie przepuścił, to wszystko teraz mam w szkatule ha! ha! ha!...

— Ha! ha! ha! zawtórowali mu śmiechem żyd i obie córki, do których miary było to opowiadanie.

Ale Eugeniusz nie wiedział, co się z nim dzieje; dla niego to opowiadanie było coś tak dziwnego, tak niezrozumiałego, że miał prawie ochotę dotknąć samego siebie, aby się przekonać czy nie sen to jaki okropny i poczwarny. Takie opowiadanie dla poety, marzącego o wyższościach idealnych, było prawdziwie zimnym lodem, mrozącym spoczonego. Pan Gliniecki potarłszy z najwyższem zadowoleniem swoją szczecinę, walił dalej:

— Porzuciłem tedy służbę i postanowiłem sam dla siebie żyć i pracować. Na co miałem pracować dla drugiego. Jakem się obrachował wyszedłszy ze służby, miałem... zgadnijcie państwo wiele! śmiech mnie bierze, jak sobie przypominę; miałem trzysta rubli srebrem, a same pisane, bo to panie działo się na Podolu naszym. Z niczego! z niczego!.. Co tu z niemi robić?.. Trzeba zaś wiedzieć, że ja się najwięcej kręciłem po nad granicę rosyjską, i znałem od Arona, który miał swoje stosunki z przemysłnikami, wszystkie przesmyki na suchej granicy, która nie była tak strzeżona jak dzisiaj. Świeciły by się te czasy, kiedy na kordonie stali kozaki. Dzisiaj z temi żandarmami nieporadna godzina. I z naszej strony nie było jęgrów jeszcze, tylko stare, wysłużone żołnierze! dobre to i pocziwe ludziska, a nieruchawe! Każdy prawie z nich miał romantyzm w nogach, a w rękach! no! ale mniejsza o to. Dostałem się tedy za kordon, do znajomego ekonoma, i tam kupiłem wóz i dwa tęgie moskiewskie konie, coby samego czarta z piekła wyciągnęły. Pierwsze to były moje konie, bo ja się nigdy w konie nie wdawał. Strasznie je-

dzą! I kupilem za wszystkie pieniądze tytoniu tureckiego. A umiałem ja kupić, umiałem i napakować. Na wierzchu w pakach żółty i śliczny jak szafran; we środku podlejszy. Ogromna to była fura! aż strach! I z tą furą znajomym przesmykiem przejechałem granicę szczęśliwie. Już to panie strachu miałem nie mało, bo nigdy bardzo nie byłem odważny, ale coby to człowiek nie zrobił dla zysku, dla pieniędzy! Trzeba się było dostać do jednego miasteczka, gdzie już mogłem być bezpieczny, bo miałem tam znajomości i stosunki. Ale do miasteczka było tęgich dwie mil podolskich. Jakie to myśli mi wtenczas po głowie biegały, i na wołowej skórze by nie zmieścił człowiek. Bo to i nadzieja panie i strach. To człowiek raz rachował, to znowu drzał o całe mienie swoje i o skórę. Ha! jadę i jadę, a powoli, bo ciężar był nie mały. A trzeba mi było koniecznie jechać popod jedną karczmę, gdzie jak wiedziałem kręciły się zawsze rewizory, te właśnie, co to od tabaki. Już przeminiałem karczmę. Panie! nigdy w życiu tak gorąco się nie modliłem. Jadę, aż tu wprost ku mnie idzie dwóch ludzi. Patrzę! aż mi oczy zasłyły mgłą. To byli rewizory; idą wprost ku mnie. Ukryć się niema gdzie, bo to panie na opolu, jakby na gołej dłoni. Przeżegnałem się ukradkiem i dalipan, choć było zimno, gorący pot oblał mnie całego. Powiadają ludzie, że pot zajęczy zimny. Oj co nieprawda, to nieprawda. A tu panie czuję sam że tytoń pachnie! ale powiadam panu tak mocno pachnie, że żeby człowiek miał najmocniejszy katar, to go poczuć musi. A te rewizory, to jak wiadomo mają nosy takie wytrawne i przenikliwe, że kontrabandę o milę zwachają. Jadę wpół martwy. Dalipan wszystkie gwiazdy widziałem, choć to było w dzień. Idą ku mnie, już sąkoło mnie, i dają mi znak jakiś abym stanął. Niebyło rady, stanąłem; a musiałem być błąd jak śmierć. Żem ja wtenczas nie posiwał, to sam nie rozumiem. No proszę pana, co to może strach; zdawało mi się jak zbliżyli się do mnie, że krzyczą na mnie: Ty masz tytoń! Nie mam, odpowiedziałem, a żeby mi panie same dzwoniły aż strach. Jaktó niemasz! przemówił jeden, przecież kurzy ci się jeszcze fajka. Aż dopiero wtenczas zobaczyłem, że mam w zębach fajeczkę, napelnioną grajcarowym tytoniem. Patrz pan! oni nie o tytoń pytali, oni po prostu chcieli odemnie ognia. Dałem im ognia dmuchając w nos śmierdzącym tytoniem, by dobrego nie zwachali. I poszli sobie szczęśliwie, podziękowawszy mi, a ja zajechałem z wozem nie naruszonym do miasteczka z moim towarem. Ale przysiągłem sobie w tenczas, że już nigdy kontrabandą trudnić się nie będę. Ba! przysiągłem w strachu, a taka przysięga nic nie znaczy. Ot jokoś strach przeminął; dzie sięćkroć zarobiłem, i potem nieraz podobne udaly mi się interessa, bo coby człowiek dla pieniędzy nie zrobił. Ale tego strachu jaki miałem wtenczas, do śmierci niezapomnę. Ot i tak! W lat kilka później poszedłem na pos-

sesją. To panie trzeba wiedzieć jak się obchodzić z posesją. Są ludzie głupi a tego nie rozumieją i gospodarują na obcej ziemi i cudzym chłopkiem, jak gdyby tę ziemię i tego ckłopka mieli potem zabrać z sobą. A to panie prosty rozum dyktuje, że na posesji, to trzeba z ziemi i z chłopka wycisnąć, taj kwita.... Aj! aj!... wiele to człowiek mógłby drugich ludzi nauczyć!..

Kto wie jak długo byłaby trwała ta interesująca autobiografia pana Glinieckiego, gdyby mu nie przerwał turkot jakiegoś powozu. Była to jego własna dryndulka, która wedle dyspozycji zajechała przed dwór, aby rodzinę Glinieckich zawieść do Niżyniec.

— A to głupi gamoń! krzyknął pan Gliniecki, i co prędzej wybiegł na dziedziniec, i odprawił nazad dryndulkę, która mu już była niepotrzebna, kiedy miał jechać z młodym hrabią i to koczem jeszcze. A szkoda! bo i dryndulka i chabety do niej zaprężone byłyby miły widok sprawiły gościom pana Krajковского. Gorszej i obdartszej dryndulki, chudszych i parszywszych koników, najbujniejszego wyobrażenia niezdolaby wymyśleć.

Wróciwszy nazad do izby, zapowiedział przecie gościowi swemu, że już czas. Biedny Eugeniusz musiał zabrać całą rodzinę do swego koczka, i wyjechał przecie. A za nimi jednokonką jechał Sruł Feigele, i ciągle kiwał głową.

— Żeby to można sprowadzić do kupy to małżeństwo, możeby człowiek faktorne jakie wydobył; medytował pan Sruł.

Prócz tej bardzo praktycznej myśli, miał on i inne; pierwsze między nimi miejsce zajmowało ciekawość dowiedzenia się, czego pan exburmistrz Wiciewicz jeździł wczoraj do pustej pasieki. Ciekawość ta gwoździem mu się wbiła w głowę.

Za nim karawana zajędzie na bal, przeniesmy się teraz do Niżyniec, gdzie się ma odbyć ta zabawa, zajmująca żywo wszystkie umysły małomieszczańskie.

C. d. n.

RADOŚĆ WIOŚLARZA.

Patrz chłopcze mój młody,
Wiślany nasz grzbiet
Podnoszą już wody,
Oj pęknie on wnet!

Patrz chłopcze tam zdala,
Jak pędzi już kra,
Jak szumi wciąż fala,
Jak wznosi się mgła.

I fala się wciska,
I huczy szum wód,
A łamie się. pryska
Kra silna i lód.

I stanie za chwilę
Już Wisła jak szkło,
Zobaczym w niej mile
Niebieskich dróg tło.

Jak strzała gnać lotem
Po wierzchu tych fal.
A potem, a potem,
Na czołna i wdał!

To szczęście, to życie,
Mój chłopcze to raj!
Patrz woda w korycie,
Oj wiosłóż mi daj!

Edward G....

Listy z Krakowa.

II.

Przeludnienie. Polacy za granicą. Poeci polscy w Paryżu. Co robią krakowscy literaci. Kalendarze. X. Zygmunt Goliań. Kalendarz Czecha. Łepkowski. Galeria Dąbskich. Muzeum archeologiczne w Wilnie. Oświecenie gazem.

(Ciąg dalszy).

Kaczkowski, przeszły rok cały w Krakowie mieszkający, po wyjeździe swoim za granicę, przed niewielu dniami, zdrów i cały znowu tutaj przybył. Krótko tu zabawiwszy wyjechał na wieś w Sanockie. Drukuje teraz w Gazecie Warszawskiej współczesną powieść p. n. Bajronista.

Jedynym pojawem ruchu umysłowego w Krakowie na teraz są więc kalendarze, które się w tych dniach ukazały. Wszyscy prawie księgarze nasi, zabrali się do wydawania kalendarzy, w których prócz świąt ruchomych i nieruchomości, wykazu jarmarków, tabel stęplowych, środków przeciw myszom i pchłom, przyczepiają i literackie artykuły.

Smutno to kiedy literatura aż w kalendarzu przytulku szuka, nie mogąc o własnych siłach przez świat się przebić. Z drugiej jednak strony może być pożytecznem, jeśli zawarte tam przedmioty, dla wszystkich co kalendarza potrzebują, są przystępne.

Tak więc prócz Baumgardtena i Friedleina, reszta: Czech, Wielogłowski, Wildt każdy wydał kalendarz.

Wielogłowski *katolicki*, zawiera artykuł ks. Walerjana Serwatowskiego o *Unji*, w którym prócz parę drobnych

uwag, mających się według obietnicy autora później rozszerzyć, ważniejszą jest podanie bulli zjednoczenia kościołów, ogłoszonej na powszechnym zborze Florenckim roku 1449. —

Tuż obok spotykamy wyjątek z mającego się ogłosić dziełka ks. Zygm. Goliańa n. p. *Rzym stolica siły, Rzym stolica miłości*. Młody ten kaznodzieja, słynący u nas z kwiecistej i łatwej wymowy, przed laty zwiedzał Rzym, był w nim dłużej, i oto podaje nam ztamtąd swoje wspomnienia.

Prawdziwie miło spotkać się z małym tym nawet pracy jego ustępem. Pełne siły, ognia, lotnych myśli, żywych zwrotów, jak porównanie starego Rzymu władzy olbrzyma, co krwią narodów kreślił granice swoje na karcie świata — a na stosach trupów, gruzów i zwalisk tron usadowił, z nowym, dzisiejszym Rzymem, stolicą kościoła, ogniskiem czynów miłosierdzia i litości. Autor młodą duszą, sercem chrześcijańską miłością płonącym zapatrywał się na to, umiał dojrzeć tę różnicę — artystycznie zestawić paralelę. Lekki, porywający styl, obfity w różnorodność myśli, krasi, wykończy rzecz całą. Wyliczenie mnóstwa dobroczynnych zakładów, skreślenie ich urzędów, wszechstronnie wyczerpane cele takowych, wzbudza żal że u nas nie takiego nie mamy, zapala chęcią naśladowania.

Wszystkie te zalety pokrywają nasuwające się spostrzeżenia, że często jedne i te same myśli się powtarzają, że przesłizne te obrazki różnią się kształtem, ale zbliżają treścią. O kazaniach jego toż samo wyrzecby można.

Resztę kalendarza, prócz parę artykułów o chinakach i lubinie, zostawił już dla siebie sam wydawca. W *scenie w Parowozie* chciał z *humorem* (jak *Ozas* powiada) pobić stanowczo kwestję tegoczesną, kwestję istoty prawdziwego postępu pojęć społecznych, w ostatnich czasach pod różne podciąganych nazwy, wreszcie w dążności kroczyć katolickiej, zarzucić brak pobożności dzisiejszemu światu.

Złe samo o mękę się bożą rozbije, mówili starzy: trudno więc nam ludziom odrazu wypławić chwasty, na całej kuli ziemskiej rosnące. Prawda że każdemu w swojej częstce usiłować wolno, ale zawsze do tego stosownych użyć wypada i środków. A wracając się do *sceny w parowozie*, kiedy już autor koniecznie w dialogu chciał swoje teorie ogłosić, chcąc może uwydatnić myśl, trzebaż było podnieść i trochę siły charaktery wchodzących osób; niechże to będą potężniejsi zapasnicy w tak ważnej kwestji, ale nie pani *Jukunda*, zdanie swoje na romansach Suego, Dumasa opierająca, lub p. *Mahary*, *Higieniusz* na formułach, które raz zbudowane, każdy na pamięć w tych rozprawach powtarza.

Drugi artykuł wydawcy zawiera wypadki komisanta jego księgarni, z tego samego tonu co przeszłoroczny.

Czech, sławny z swych badań astronomicznych, w które tak się wtajemniczył, że nawet życzenia żywiołów przenika np. *deszcze spaść pragną, ale im wiatry tego nie-dozwolą*, nie wiele tegorocznym swym kalendarzem zainteresował. Nie postarawszy się o oryginalne utwory, powykrawał ustępy z rozmaitych dzieł, nowemi je tytułami tylko ochrzcizszy. Spotykany tam więc: *podług stawu grobla* z Karol. Nakwaskiej, *Rady dla rodziców* z Tripplina, *Wąwóz Samo-Siera*, w tysiącznych opowiadaniach, powieściach, w wierszach już od wielu czasów przeżuwany; dalej *opis Częstochowy* dosyć dobry, *Herbaty*, w końcu jakaś *legenda* Ukraińska, zawsze podejrzanego pochodzenia.

Największy z tych dwóch co do obojętości, więcej staranny zawierający artykułów, jest Juliusza Wildta. Od trzech lat dopiero istniejący, zyskał sobie imię i jest bardzo lubionym.

Najwięcej schwycony jest tam cel wszechstronny, nagromadzeniem przedmiotów do wszystkich rodzaj czytelników zastosowanych, a co jak wspomniałem główną jest potrzebą kalendarzy z literackimi dodatkami.

Ludzie polityce całe swoje zajęcie poświęcający, znajdą tu pokarm dla wojennej duszy w dosyć dokładnych, bo nawet miarę wzrostu zawierających opisach żywotów Napoleona III, Mikołaja I., Aleksandra II., wodzów rozmaitych obecnej wojny, wreszcie w dosyć obszernym *podglądzie na sprawę wschodnią*.

Bardzo interesujące opisy zamku Dzikowskiego, (hr. Tarnowskich) zamku w Podhorcach, Kalwarii Zebrzydowskiej, z których dwa pierwsze mocno nam pióro Luc. Siemieńskiego przypominają, a ostatni wyciągiem z dzieła J. Łepkowskiego będący, są pożyteczne i pouczające ustępy.

Tegoż co i Kalwaria Żeb. autora, znachodzimy dwa jeszcze artykuły: *Kościół katolicki zewnątrz i wewnątrz, oraz nieco o krzyżach*, i *Anioł pański, niech będzie pochwalony*, z rękopismu księdza Owińskiego r. 1725.

Pierwszy szczególnie, własną pracą autora będący, zasługuje na uwagę pod każdym względem. Znajomość symbolistyki kościoła, wiadomość o wszystkich częściach świątyni bożych, o tem że one równo z potrzebą ducha wzrastając, równo się z nim kształciły, różne kształty przybierały, jest każdemu koniecznie potrzebną; zwrócenie uwagi na myśl która w każdej z nich ukryta, wyraźnie do nas mówić powinna, jest szczęśliwym bardzo pomysłem, a jeżeli go umiejętnie, dobrze wykonane nie małą zasługą. Bo nie ma nic smutniejszego jak patrzeć na tych, co w kolumnach, łukach, podziałach świątyni, widzą tylko wapno, cegłę i kamień, różnie porozkładane, a w krzyżu Chrystusa, ołtarzach świętych — drzewo i metal.

P. Łepkowski umiłowałszy zawód archeologa, pracując już długi czas na tej drodze, wglębił się, wtajemniczył w świat przeszłości, pyłem wieków okurzony, nauczył

się czytać jego dzieje, na pozostałych zabytkach spisane; a budując rozwój, zjawiska stopniowego postępu, potrafi dzisiaj wysledzić myśl która takowemu w każdej chwili towarzyszyła, potrzebę z której ona wynikała.

Tak samo rzecz się ma, wracając do naszego przedmiotu z symbolistyką kościoła. Chcąc ją zrozumieć, trzeba prócz miłości chrześcijańskiej, znać dzieje dawnych ludów, wiedzieć jak oni swą cześć dla Boga wyrażali, śledzić gdzie i jak pierwsze stawiano świątynie, jaka była skala oświaty onego narodu, przypatrywać się jak cegłę za cegłą dorzucano, aby rozszerzyć te świątynie — a odnosząc to zawsze do chwilowego usposobienia narodu można przyjsć do pewników określających, co w której części kościoła wyrazić chciano.

D. n.

TOWARZYSTWO MUZYCZNE.

Podaliśmy w przeszłym numerze wypadek z rachunku rocznego funduszków towarzystwa. Zanim własne zdanie o towarzystwie muzycznym powiemy, przytoczyć wypada co sama dyrekcja o stanie i widokach towarzystwa wyrzekła:

„To sprawozdanie, które Panom właśnie odczytano, nie zdola wielkiej wzniecić nadziei, wskazuje tylko: że jeszcze ciągle u kolebki przedsięwzięcia stoimy, i że dwuletnie działanie ledwie nas o kilka kroków naprzód posunęło. Mniemamy atoli, że nadzieja pomyślniejszego powodzenia opuszczać nas niepowinna; przedewszystkiem jednak uznajemy potrzebę wyjaśnić sobie warunki do żywotnego rozwoju Towarzystwa, i wykryć bez ogródki nieprzyjemne stosunki, które stoja na przeszkodzie wzrostowi.

Towarzystwo wymaga głównie szczerzego udziału Publiczności. Jej udział jest jego żywiołem, bez niego, jak niestety przemilczeć nie można, Towarzystwo zostanie, nawet przy wielkich pieniężnych ofiarach, tylko watał cieplarni roślin, bez siły żywotnej. Brak udziału osłabia jego skuteczną działalność, bez której obejść się nie może, wykonującym członkom odejmuje wszelką ochotę, gorliwość i ową wytrwałość w wspólnem działaniu, bez której nie ma dokładnych produkcji; czego wynikiem jest ubytek finansowych środków, a ztąd niemożność utworzenia dzielnego, swemu zawodowi wyłącznie poświęcającego się artystycznego zarządu.

Towarzystwo, jak teraz istnieje, nie zapewnia artystcie ni utrzymania, ni sławy, ni uznania.

Lecz zkadże pochodzi ten brak udziału?

Miałoby miasto, liczące wzwyz 70 tysięcy miesz-

kańców, stolica wielkiego kraju koronnego, zupełnie zmysłu nie mieć dla muzyki, i niechcieć przy życiu utrzymać instytutu który to małe wsparcie jakiego wymaga, przecież swojemi produkcjami wynagradza?

Wysztalcona publiczność Lwowa, zamilowaną jest jak wiadomo w operze; dla czegoż ma być dla Towarzystwa muzyki obojętną i nieżyczliwą?

Jest zapewne do tego wiele powodów. Dla zapobieżenia im starajmy się je poznać. Z pomiędzy nich wytknąłby można tę okoliczność, że w śpiewie i deklamacji języka krajowego za mało uwzględnić można było. — Żądają by w polskim kraju polską pieśń śpiewano.

To życzenie jest słuszne, pomimo że każdy bezstronny przyzna, iż sztuki w ogólności, a w szczególności muzyki, jako wyłącznie narodowej ani pojmować ani rozwijać nie można. Artysta muzykę tam czerpie, gdzie mu ją podają, i w tym duchu oddać ją winien, w którym ją utworzono. Dla tego też pieśń, w której się słowa i muzyka w jedną zlewają całość, zwykle w języku oryginału śpiewać się powinno. W tłumaczeniu niknie prostota i urok pieśni, słuszne jest zatem żądanie żeby pieśń polską po polsku śpiewano.

Śpiew jest najulubieńszym, bo powszechnie zrozumiałym wyrazem muzyki. Śpiew wita i utula nowo narodzone dziecię w kolebce, pociesza i wznosi upadłego ducha krewnych i przyjaciół przy trumnie zmarłego. Niema uczucia ani namietności, którejby śpiew wyrazu, odgłosu, wzruszenia lub ukojenia nadać nie zdołał; śpiew jest tłumaczem serca!

Możnaż więc muzykę pielęgnując śpiew zaniedbywać?

Szczególnie zaś kwartet męzkich głosów i chór męzki zdoła zmysł i uczucie muzyczne w dalszych kołach rozbudzać.

Sądzimy, że tą drogą stanowczo postępować należy. Najbliższy środek ku temu jest stowarzyszenie śpiewaków (Śiebertafel) które na nowo w życie wprowadzić potrzeba, a to jako część i żywioł Towarzystwa muzyki.

Można będzie wzajemny stosunek ustalić w sposób obie strony zaspakajający, zostawiając stowarzyszeniu śpiewaków wolność działania, zmierzającego ku towarzyskiej zabawie i zabezpieczając Towarzystwu wpływ na artystyczne kształcenie śpiewaków.

Towarzystwo według naszego zdania udział dla siebie i tem także osłabiło, że na wysztalcenie katolickiej kościelnej muzyki tyle uwagi zwrócić nie było w stanie, na jaką takowa bezsprzecznie nie tylko ze stanowiska sztuki i religijnych wymagań, lecz oraz jako pośredniczka i ożywicielka muzycznego zmysłu i wyrazu w dalszych kołach społeczeństwa zasługuje. Nie mówi się tu o właściwych szkołach, dla których środków nie mamy, lecz o dobrem

wykonywaniu kościelnej muzyki; nie żądamy tego, aby już w początkach wyprawiano wielkie i trudne oratorja, sądzimy wszakże, że Towarzystwo żadnej kościelnej uroczystości opuścićby nie powinno, aby odegraniem pięknej mszy nie objawić swej artystycznej działalności.

I jestże-to zresztą za wielkie żądanie, ażeby raz na rok za wszystkich zmarłych członków towarzystwa wykonać żałobne Requiem?

Także i w organizacji Towarzystwa spostrzegamy wady, które poniekąd braku udziału są przyczyną. Nie mamy organu, w którymby życzenia i wnioski członków towarzystwa swój wyraz znalazły. Ogólne Zgromadzenie nie jest tym organem, lecz samo Towarzystwo. Dyrekcja zaś podług teraźniejszego w myśl statutów urządnego składu, jako obradujące ciało, a przedewszystkiem jako reprezentant Towarzystwa, nie jest tu dostateczną, ponieważ trzech członków z liczby wspierających, a innych trzech z liczby wykonywających w żadnej mierze za prawdziwy wyraz całego stowarzyszenia uważać nie można. Jako organ wykonywawczy tylko, nie jest w sposób zamiarowi całkowicie odpowiedni uorganizowaną, ponieważ przy ściślejszej zasadzie kollegialnych obrad i głosowań różnorodne przedmioty w jedno skupiają się ognisko urzędowania. Przy takiej organizacji prawie niepodobna ożywić działań towarzystwa, i pogodzić z wymaganiami publiczności. Dwuletnie doświadczenie potwierdza to zdanie. Potrzebne jest zatem według naszego mniemania organiczne ciało pośredniczące pomiędzy ogólnem zgromadzeniem a Dyrekcją, to jest: Wydział, złożony przynajmniej z 18tu członków, z których 12tu przez i z pomiędzy wspierających, 6ciu zaś z pomiędzy i przez wykonywających obraćby wypadało.

D. n.

Rozmaitość.

* Dnia 4. listopada b. r. odbyła się wielka uroczystość kościelna w Krotoszynie, włości należącej do OO. Dominikanów. Było to poświęcenie kościoła nowo wymurowanego i przystrojonego wewnątrz kosztem i staraniem samychże OO. Dominikanów. JO. ksiądz areybiskup Baraniecki przybył w wilją jeszcze, i uroczystość był przyjmowany, najprzód u granicy przez poczet konny 40 chłopaków ze wsiów konwentu Dominikańskiego, a przy samej wsi przez duchowieństwo i lud licznie zgromadzony, i dnia tegoż sam po krótkiej przemowie odbył katechizację dzieci i dorosłych obojga płci. Naza jutrz z rana Arcypasterz jako konsekrant, otoczony kanonikami i licznem duchowieństwem, którzy natę uroczystość przybyli, odbył ceremonję poświęcenia kościoła. Ks. kanonik Mossing miał sumę, a ks. Hyjeronim Mianowski z zakonu OO. Bernardynów kazanie. Po sumie arcypasterz udzielił 103 osobom sakrament bierzmowania, i poświęcił nakoniec dwie nowe chorągwie do tegoż kościoła ofiarowane przez Józefa Budzińskiego, obywatela miasta Lwowa na pamiątkę swego pochodzenia z tej wsi. Chorągwie te, z materji jedwabnej jedna biała, druga czerwona, ozdobione są wizerunkami i matki boskiej, malowanymi na pargaminie w Paryżu.

Na zakończenie ksiądz Arcybiskup udzielił przytomnemu ludowi, licznie z okolicznych parafii zgromadzonemu błogosławieństwo i zupełny odpust.

* Jutro dnia 23go Listopada dany będzie na dochód pana Smochowskiego dramat w 5ciu aktach z francuskiego pp. Bourgeo is i Denery przez Bogumiła Dawisona tłumaczony, pod nazwiskiem: „Żona marynarza z Saint Tropez.”

Przyjechali od dnia 20. do 22. Listopada do Lwowa.

PP. Borowski Maciej, z Hurka. Cieszanowski Wenant, z Stan-kowa. Nowodworski Piotr, z Siedliska. Lipiński Aleksander, z Sie-niawy. Głogowski Artur, z Bojanca. Potocki Mieczysław, z Kociubińczyk. Nowosielski Ludwik, z Zbory. Lityński Wenant, z Litwinowa.

Hr. Komorowski Edward, z Krakowa. Niewiadomski Tade-usz, z Sopotyna. Torosiewicz Michał, z Połtur. Krzczunowicz Ignacy, z Jaryczowa. Niezabitowski Napoleon, z Nakła. Biesiadecki Stanisław, z Tarnowa. Br. Brunicki Emil, ze Stryja. Br. Brunicki Julian z Podhorec. Trzciniński Antoni, z Żyrawy. Nahujowski Antoni, z Czernicy. Winnicki Hipolit, z Tarnopola. Malinowski Lubin, z O-strowczyka. Hr. Starzyński Michał, z Olejowa. Antoniewicz Win-centy, z Skwarzawy. Obertyński Leopold, z Stronibab. Czermiń-ski Juliusz, z Glińska. Lgocki Ludwik, z Tarnowa. Kozłowski Zygmunt, z Cieszyna.

PP. Leon Bobowski, z Przemyśla. Kotkowski Apolinary, z Ha-włowiec. Hr. Badeni Aleksander, z Krakowa. Younga Romuald, z Przemyśla. Zieliński Ludwik, z Krakowa.

Wyjechali od dnia 20. do 22. Listopada ze Lwowa.

PP. Baczyński Sabin, do Stechnikowiec. Dolnicki Wiktor, do Makowiec. Ziętkiewicz Stanisław, do Podhorec. Skulski, do Czort-kowa. Krzyżanowski do Przemyśla.

Hr. Potocki Stanisław, do Żółkwi. Nowodworski Piotr, do Żółkwi. Wereszczyński Mich., do Gaj. Raczynski Aleksander, do Załucza. Dąbbski Gustaw, do Przemyśla. Hr. Działyńska, do Ros-sji. Madejski Marcei, do Stryja. Hr. Dzieduszycka, do Gaj.

Kurs telegrafowany z Wiednia 21. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	113	Pożyczka 5%	74 1/2
Hamburg za 100 tal. banco	82 3/4	Akcyje banku	920
Londyn za 1 funt szterl.	11.2	Kolej północna	203 1/2
Medyolan za 300 lirów	112 1/4	Obl. ind.	68 3/4
Paryż za 300 franków	131	Nowa pożyczka z loterya	97 3/8
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa	77 3/16

Wczorajszy	Kurs Lwowski	Gotówką	towarem.
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 12	złr. 5 kr. 15	
Dukat cesarski	„ 5 „ 17	„ 5 „ 20	
Półimperyal zł. rosyjski	„ 9 „ 3	„ 9 „ 7	
Rubel srebrny rosyjski	„ 1 „ 43	„ 1 „ 44	
Talar pruski	„ 1 „ 40	„ 1 „ 42	
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1 „ 13	„ 1 „ 14	
Galicyskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu „	88 „ 36	89 „ 6	
Galicyskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu „	68 „ 18	68 „ 45	
5 proc. pożyczka narodowa	77 „ 24	78 „ 20	

Na dniu 27. 6. m. będzie

sprzedana w Żurawnie w obwodzie Stryjskim część sta-dniny z wolnej ręki. — O czem się zawiadamia niniejszem chęć kupienia mających.

(220 2—3)

W księgarni

J. W. Kallenbacha

dostać można

Ryciny mód damskich

z ostatnich miesięcy 1855 r.

to jest: 8 rycin kolorowanych mód

3 arkusze krojów sukien

1 wzorek do roboty kanwowej

razem zamiast 1 złr. 20 kr.

za 48 kr. m. k.

(2—6)

Melodikon czyli harmonika,

instrument Deutschmana, mahoniowy na 6 octaw, i fortepian są za umiarkowaną cenę do sprzedania lub wypożyczenia. Bliższa wiadomość w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie.

(200 3—6)

Zamieszkały w stolicę na-

szej nauczyciel tańców, **Antoni Schön**, dając przez wielo-letnią naukę dowód swej pilności i zdolności w tym pięknym zawodzie, udziela lekcje tańców tak w swoim pomieszka-niu przy ulicy wałowej w zabudowaniu OO. Bernardynów pod liczbą 739 1/4 jako i po domach rodzicielskich i w zakładach naukowych. Najnowsze tańce, które teraz w pożyciu towarzyskiem są przyjęte, i które jak najdokładniej wkrótkim czasie w wyżej wspomianej szkole tańców wyuczyć się można, są: nowy kadryl francuski, polka tremblente, polka-mazurka, szkocka polka, cotillon, anglaise, i triolet. Dla dzieci udziela naukę tańców podług najnowszych reguł w wszystkich konwersacyjnych i solo tańcach, jako to: solo mazura, krakowiaka, kozaka, węgierskiego, kaczuki, etc.

(221 1—3)